

BOLESŁAW KOŁODZIEJ ur. 1924; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Dzieciństwo
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, rodzina, chleb, wypiek chleba, przepisy, przysmaki, kuchnia, jedzenie, kowal, dzieciństwo, zabawy

Dzieciństwo

Jestem Kołodziej Bolesław, urodzony 15 listopada 1924 roku w Lublinie. Mój ojciec miał na imię Jan Kołodziej, matka – Marianna Kołodziej po mężu, z domu Parol, córka Michała, a ja byłem syn Jana i Marii. Moje rodzeństwo to: bracia Józef i Edward, i siostry: Zofia, Jadwiga, Stacha i Danka. Ja byłem dzieckiem piątym, pod koniec już. Żeby wyżywić siedmioro ludzi w domu, to trza było dużo mieć pieniędzy, a ojciec miał trzy hektary ziemi i tylko z tego śmy żyli. Ojciec pracował, ale co zarobił – 150, 200 złotych – to na chleb nie starczało. Kilo chleba kosztowało – razowego – 20 groszy, pytłowego – 25 groszy. Przed wojną była albo dwukilowa bułka chleba, albo kilowa bułka i koniec. Żyto kosztowało 20 złotych metr, to kilo chleba razowego – 20 groszy. Zarobek piekarza – to przypiek, bo na każde kilo mąki jest 20% przypieku – i to był jego zysk.

Musiałem rano wstawać o piątej albo wcześniej, bo na ósmą do szkoły. Musiałem wziąć krowy, bo matka miała dwie krowy, w pole, napaść ich, przyjąć, raz dwa przebrać się w szkolne ubranko, zjeść coś tam, matka gotowała przeważnie kawę z mlekiem – zbożówkę, albo jakąś zacierkę. Nie było masła tak na co dzień ani chleba białego. Do stycznia to piekła matka chleb sama, bo jeszcze śmy mieli zboże, a jak się zboże skończyło – to kupowała. Jak kupnego, to skrojkę ukroiła, dała, resztę schowała pod klucz, do szafki. Bo więcej nie wolno było. Trzeba było, żeby dla wszystkich starczyło, bo miała tylko na bułkę chleba dzisiaj – nie na dwie, a jak piekła – to już do syta się jadło tego chleba. Ten chleb z początku, to piekła na trzonie – takie krągłe bułki. To chleb się tak piekło. Poszedł ojciec – młyn mieliśmy blisko – 25 kilo żyta wziął na plecy, poszedł, zmełł na razówkę, a matka tylko odsiała te plewy i taka była, dzieża się nazywała – takie z drzewa, takie koło i na noc robiła taki zakwasek, paliła w piecu, gnietła, tę mąkę sypała, wymiesiła, wymiesiła, troszkę podrosło, robiła te bułki, piec się nagrzał i do pieca. To lazło dwanaście bułek do pieca takich, to starczało na dwa tygodnie. A później to już nie piekła na trzonie, tylko piekła w brytfankach takich, to lazło dziewięć brytfanek do tego pieca. Szuflą się pchało.

I matka piekła nieraz na święta, to piekła placki – placki tylko się jadło na święta – Boże Narodzenie, Wielkanoc, to babki piekła, to mazurki, to piekła takie znów placki z burakami cukrowymi – bardzo dobre – to na kolację kawałek takiego placka, kubek mleka – pół litra i spać.

Na obiad – różnie się jadło, no już czekaliśmy lata, żeby kartofle urosły, bober żeby urósł, to już była wyżerka. Już kartofli matka naskrobała młodych, nakopała, nagotowała no i jakiś kapuśniak, to nie było tak ogórków, nie było pomidorów, nie – to nie było. Były – ale nie dla każdego. Tam ludzie tak nie sadzili, nie wiedzieli, nie były ludzie takie pomysłowe. Kartofle, barszcz, chleb i już. A mięso to się jadło raz na tydzień – święto – jakąś kurę zacięła, bo zdychała albo coś – dopiero się rosół jadło. Lubiłem zacierczkę taką, kartofelki i taka zacierczka w kostkę, do tego słoninka taka ze skraweczkami, koperku, pycha! Jak gdzieś zarobiłem pięć groszy, to trzymałem te pięć groszy, bo bułka kosztowała kajzerka pięć groszy.

Miałem kowala – już przed samą wojną – szwagra miałem kowala, to on mnie wysyłał po ofnale na Bychawską. Ofnale – gwoździe do koni kucia. To wysyłał mnie: „ćwierć kilo ofnali leć przynieś”. Konia miał już do kucia, a nie miał ofnali, no to było spory kawałek, ale przez most poleciałem – to raz dwa, było róg Pięknej i Bychawskiej – taki sklep u Rakowskiego – sklep był żelazny – to pięć groszy mi za to dawał. To ja trzymałem te pięć groszy – cóż tu kupić – cukierka? Nie bardzo. Bułkę? No i trzymałem, aż coś kupiłem se.

W lecie tośmy mieli takie zabawy przy rzece – mieliśmy kumpli – w wakacje, to rano trzeba było krowy napaść, ale już później wolne, od południa do czwartej wolne, o czwartej – znowu w pole. Jak się krów nie napaśło, to nie było jedzenia, trzeba było na kolację po pół litra mleka, chleba, albo trzeba było bobu pójść narwać, nałuskać, matka gotowała, to nie było takie ło ło. Musiałem się i nauczyć i pracować od małego. No i nie powiem – tam się ożeniłem - 29 lat miałem – w dzień urodzin brałem ślub, tera mi się kończy 50 lat, bo się rodziłem 15 listopada, to mi się kończy pięćdziesięciolecie – żyję z żoną.

Data i miejsce nagrania	2003-07-11, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"